1923 r. CZERWIEC № 10.

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI

DWUTYGODNIK ŁOWIECKI POD REDAKCJĄ JULJANA EJSMONDA

KALENDARZ MYŚLIWSKI.



W czerwcu wolno polować na rogacze, cietrzewie, kaczory.

Redakcja Warszawa, Szpitalna 1 m. 1. Administracja: Szpitalna 12. Redaktor przyjmuje we wtorki od godz. 4 i pół do 5 po poł



Wspomnienia myśliwskie z Azji Środkowej.

III. Łowy na tygrysy.

Sądziłem, że odszedł na chwilę i z przyjemnością wyciągnąłem się na 2-ch leżakach. Przeszło 10—15 minut. — Nie wraca. Zawołałem półgłosem. — Nie odpowiedział. Pojąć nie mogłem, gdzie się zaprzepaścił, ale w rezultacie poczułem, że jestem sam jeden i w głupiej sytuacji, jak cietrzew na drzewie. — Spojrzałem na zegarek i o ile przy blasku gwiazd wyrozumieć mogłem— była za kwadrans druga. Do brzasku zostawało przeszło 2 godziny. Podniósł się przed świtem wietrzyk górski, zaszeleściały liście na orzechu, robiąc wrażenie, że ktoś wdziera się na drzewo. Strzały wygnały puszczyka z gniazda: jęczał teraz bez przerwy...

Czułem, że zdenerwowanie zwiększa się z każdą chwilą.—Zdecydowałem się zleźć z drzewa i pójść do aułu, ale z bronią w ręku bez czyjejś pomocy spuścić się nie mogłem. Prócz tego bałem się w nocy w zaroślach zmylić kierunek i zbłądzić. Zresztą wstyd mi było wrócić samemu, nie wiedząc co się stało z mym towarzyszem. Zostałem więc wpatrując się w przestrzeń i z drżeniem serca wsłuchując się w każdy szelest. — Ostrzeżenie: „Broń Boże nie zasnąć“ tkwiło mi w pamięci, ale zmęczenie robiło swoje; czułem, że się kiwam i po raz setny przecierałem oczy. Nagle w oddaleniu huknął jeden strzał i znowu wszystko pogrążyło się w milczeniu. Sądząc, że Gamow stracił kierunek — odpowiedziałem, a górskie echo powtórzyło mój strzał stokrotnie, budząc ze snu puszczę. — Przeszedł jeszcze kwadrans. Niebo na wschodzie pobielało. Poczęło szarzeć. Z zarośli wyłonił się Gamow, pytając „Co się stało? Do czego pan strzelałeś?“ Dowiedziawszy się, że wskazywałem mu kierunek drogi, machnął niecierpliwie ręką, mówiąc: „Złaź pan, trzeba wracać do aułu“.

Ostrożnie spuściłem na sznurze dubeltówkę, a potem zszedłem sam z drzewa, drąc spodnie i ręce. Gamow rąbał przez ten czas cierniowe krzaki rosnące tu obficie i milcząc, kolącemi gałęziami zarzucił tygrysa. Widziałem, że był wściekły i nie chciałem o nic pytać. Dopiero w drodze, w pewnem miejscu, starannie obejrzał wilgotny piasek i wskazując na słaby odcisk łapy tygrysiej, którą poznać można było po odcisku pazurów — zawołał: „A! ot kędy ten zbój uciekał...“ — Poszedł w bok, badając przeciwną stronę brzegu strumienia. Nagle krzyknął radośnie: „Patrz! patrz pan! farbuje. Choćby nawet i nie zginął, to w te strony nigdy nie powróci!“ — Rzeczywiście na trawie i na krzaczkach, w pewnych odstępach jasno widniały ślady krwi. Zwierz uchodził szybko, skokami i dlatego może krew znajdowaliśmy w pewnych odstępach. Dopiero teraz rozwiązał się język strapionemu kapitanowi. Gamow widząc, że zabiliśmy samicę mleczną, a więc mającą małe, przekonany był, że samiec wróciwszy do legowiska i nie znalazłszy samicy, pójdzie jej śladem na zwiady. Poszedł zatem w stronę przypuszczalnego legowiska, by się zaczaić na samca, który według niego powinien był dążyć do samicy, a przekonawszy się o jej śmierci, wrócić do legowiska. Gamow postanowił zaczaić się na ścieżce i jednocześnie pozbyć się obydwóch drapieżników, oswobadzając całą okolicę od niebezpiecznych sąsiadów. W jaki sposób orjentował się w ciemnym gąszczu nocą, na terenie, który raz tylko widział za dnia — nie wiem. Pomogła mu w tym wypadku szczególnie rozwinięta intuicja myśliwska. Dość, że znalazłszy oddalony parę kroków od ścieżki odłam skały, chroniący mu plecy, usiadł za nim, wyczekując cierpliwie zwierza. Po paru godzinach usłyszał szelest, ale i zwierz go poczuł, bo ostrożnie smyrgnął w gąszcz. — Gamow strzelił, a ponieważ zwierz nie ryknął i nie zatrzymując się poszedł dalej w zarośla — sądził, że spudłował. Lecz nagle usłyszał mój strzał. Wyobraził sobie, że samiec zjawił się koło mnie, a mało wierząc w moją myśliwską sprawność, pośpieszył pędem przez zarośla w moją stronę na pomoc, lękając się, że tygrys zaatakuje drzewo.

W aule na wiadomość, iż samica została zabita, a samiec zraniony zapanowała ogólna radość. Według zdania krajowców, żeby samca zabito, a samicę zraniono — wróciłaby do dzieci, ale samiec, albo zginie od rany, albo wyniesie się z tej okolicy i nigdy już nie wróci. Młodzież z drągami rzuciła się na miejsce zasadzki, żeby ostrożnie przynieść tygrysicę, nie popsuwszy jej skóry. Oprawić na miejscu, w lesie, nikt nie chciał, taki strach czują krajowcy przed tym zwierzem.

Postanowiono również urządzić naty hmiast obławę, żeby schwytać małe. W obławie wzięli udział wszyscy mężczyzni, nawet nasz doktór. Zostałem w aule tylko ja i kobiety. Byłem tak wyczerpany przejściami tej nocy, że położyłem się spać. Gamow zarządzał obławą. Obudził mię gwar powracających z obławy.

Przynieśli dwa tygrysięta, może 10-dniowe. Były wielkości dużych syberyjskich kotów; szerść miały szarą z lekko zarysowanemi prążkami ciemniejszej barwy. Wyglądały zupełnie jak koty — tylko głowę i łapy miały znacznie większe, a ogon na cal dłuższy był od ciała, włącznie z głową. Gamow był w świetnym humorze i kurtuazyjnie złożył skórę i kocięta przedemną. Naturalnie nie przyjąłem tego daru, ale widząc, że się obrazi, skórę i kocięta da kirgizom, a sam zniknie na długo, — zaproponowałem rzucić losy. Kto wy-

ciągnie kocięta, jako opiekun tygrysów, nie będzie więcej polować na nie; kto skórę—ten, naodwrót, powinien tępić je do końca życia. Gamow zamyślił się, jakby coś obliczając, potem chętnie się zgodził. Doktór zrobił supełek na rogu chustki i skręcił dwa rogi. Zwróciwszy się tyłem do doktora i złożywszy razem lewe ręce, nie patrząc wzięliśmy każdy róg chustki. Mnie się dostał róg chustki z supełkiem co oznaczało kocięta. Obadwaj byliśmy z losu zadowoleni.

Polowanie z zasadzki nie robiło mi satysfakcji, przeciwnie, zawsze po niem czułem jakiś niesmak, jakgdyby wyrzut sumienia. Wogóle lubiłem polowanie jako sport. Bywało, że miesiącami żyłem tem co mi strzelba przyniosła i wtedy biłem wszystko co się trafiało, ale nie czułem przyjemności w zabijaniu i często darzyłem życiem zwierzę, jeżeli nie groziło mi niebezpieczeństwo i niepotrzebne było mięso, skóra lub też egzemplarz nie nadawał się do kolekcji.

Kocięta moje były głodne i złe, broniły się pazurami i groźnie fyrkały. Przyszła kirgizka, wzięła je na kolana i otworzywszy pyszczki, napoiła mlekiem z palca, tak jak się karmi młode jagnięta lub koźlęta, jeżeli zostaną bez matki. Z początku nie chciały w ten sposób pić, ale potem przywykły, a po tygodniu sprawnie łykały mleko z jednej miski, oblizując się jak koty. Przywiozłem je do Oszy w wojłokowych torbach. Ciekawe, że konie kirgiskie, czując wroga nie chciały pozwolić przerzucić torby przez siodło a zmuszone do tego — pociły się ze wzruszenia i lęku. — W Oszy tygrysięta szybko przywykły do ludzi i włóczyły się po moich pokojach, plącząc się pod nogami. Ulubioną ich zabawą było ostrzenie pazurów na dywanie lub wojłoku, jak to robią młode kocięta.

Wkrótce byłem mianowany urzędnikiem do szczególnych poruczeń przy gubernatorze Fergany i przeniosłem się do Margielanu, gdzie miałem własny dworek z ogrodem, przylegającym do parku gubernatorskiego i ogrodzonym wysoką ścianą. — Tygrysy pojechały ze mną, umieściłem je w ogrodzie i w stajni. Opiekował się niemi seis (koniuch, fornal) pielęgnujący moje wierzchowe konie. Karmiliśmy je surowem mięsem. Chociaż kosztowało ono tylko 5 kop. funt, ale i to było dla mnie za drogo. Wszedłem więc w umowę z rzeźnikiem, by mi dostarczał płuca 2—3, potem 4 sztuki dziennie (krajowcy Turkiestanu jedzą tylko baraninę; w ostateczności chętniej koninę, niż wołowinę). Tygrysy chowały się wybornie. Chodziły swobodnie do kuchni i pokojów. Spały w stajni i konie moje zupełnie nie zwracały na nie uwagi. Po roku były wielkości dużego psa, tylko trochę dłuższe i grubsze, z sążnistemi ogonami. Jeden z nich wdrapał się przypadkowo na płaski dach mego dworku. Odtąd dach stał się ich ulubionem siedliskiem. Wylegiwały się tam w słońcu całemi dniami, pilnie obserwując ulicę, i tylko w nocy na wołanie seisa zeskakiwały jednym susem z dachu do ogrodu i szły do stajni.— Wogóle były posłuszne, znały swoje przezwiska i chętnie przychodziły na wołanie; opierając się przedniemi łapami na piersi, starały się swoim szorstkim językiem polizać po twarzy, co nie należało do przyjemności, oddech ich nie należał do miłych zapachów. Raz jeden z tygrysów wpadłszy do kuchni, korzystając z nieuwagi kucharza-krajowca, ściągnął kawał mięsa. Kucharz popędził za nim. Tygrys z mięsem lekko, nie dotykając łapami, przeskoczył 10 stopową ścianę ogrodu i wpadł do ogrodu sąsiada, aptekarza Brejtigama, robiąc szalony popłoch wśród jego rodziny. Odtąd przeskakiwanie ścian sąsiadów stało się sportem. Poczęły się skargi sąsiadów. Gubernator gen. dywizji Korolkow, światowej sławy botanik i człowiek nadzwyczajnej dobroci, delikatnie doradzał mi, żeby się pozbyć tygrysów, albo wsadzić je do klatki. — Żal mi ich było, więc kazałem o trzy stopy podwyższyć ścianę na około ogrodu. — Jakiś czas było spokojnie, a potem znowu zaczęło się przeskakiwanie.

W czasie karmienia (rano o 7 i o 5 w.) tygrysy były szczególniej podniecone. Przyciągały ogony do siebie, jadły mrucząc i energicznie kiwając samym końcem ogona. To znowuż drażniło malutkiego pieska mojej wychowanicy. Piesek widząc kiwający się koniec ogona, chwytał za niego zębami i odciągał cały ogon. — Tygrys wyrywał ogon i przyciskał go wzdłuż ciała i t. d. Zabawy takie pieska z tygrysim ogonem śmieszyły seisa, który nietylko nie bronił, ale podjudzał jeszcze psiaka. Raz tygrys, czy był bardziej głodny, czy zdenerwowany, dość że kiedy piesek pociągnął go za koniec ogona, uderzył go łapą z taką siłą, że pieska odrazu zgniótł. — Seis rzucił się odbierać pieska. Tygrys groźnie zaryczał i rzucił się na Seisa uderzając go jedną łapą w piersi, drugą w udo poczem zaś zębami pochwycił go za ramię. Było lato, seis był w koszuli i tygrys poranił go dość głęboko. Na szczęście seis nie stracił przytomności, uderzył tygrysa żelaznem wiadrem, w którem nosił mięso, przytem krzyknął groźnie. Tygrys natychmiast go puścił, pędem wpadł do otwartej kuchni i jednym skokiem znalazł się na półce do rondli przybitej wysoko na ścianie. Ludzie zapędzili drugiego tygrysa do kuchni i dali mi znać. Zobaczywszy pokrwawionego seisa, choć rany nie były ciężkie nie ociągając się pojechałem po strychninę, Brejtigam przyjechał i osobiście z radością sprepar owal trutki, bo jemu sąsiedztwo tygrysów najwięcej dokuczyło. Zatrute tygrysy zakopano w ogrodzie. — Nie pozwoliłem zdjąć z nich skór, bo bardzo mi było żal zwierząt, do których się tak przyzwyczaiłem.

Żyły one u mnie 16 miesięcy. Nie dostały jeszcze właściwego futra. Były ciągle szare, tylko grzbiet i pręgi pociemniały, a brzuch i piersi zrobiły się zupełnie białe. Samica była powolniejsza i łatwiej nadawała się do oswojenia.

Gen. Bronisław Grąbczewski.

(d. c. n.)

Ku indyjskiej rubieży.[1]

O południu minęliśmy stację Tachta-Kuwat[2]), gdzie w cieniu kilku mizernych i zakurzonych akacyj biło małe źródełko, a o kilkanaście kroków dalej wsiąkało w piaski i ginęło. Okolica zaczęła się potrochu zmieniać. Piaski ustępowały miejsca gruntowi kamienistemu, tu i ówdzie widać było głazy mniej lub więcej kanciaste, porozsiewane po równinie, gdzieniegdzie też pokazywały się już typowe rośliny skalne. Jadąc, jak zwykle, na czele kawalkaty, miałem dnia tego sposobność przekonać się o zdolnościach myśliwskich Aleba, mego wierzchowca.

Tym razem koło mnie znajdował się Siergiej, a Bilkiewicz[3]) pozostał gdzieś w tyle, badając przez lornetę jakiegoś ptaszka, który go zainteresował.

Gorąco było, konie szły wolno; jechaliśmy ścieżką tak wązką, że nogi nasze co chwila się zderzały, a konie ocierały brzuchami. Wtem Siergiej szarpnął mię za rękaw:

— Patrz pan! — i wskazał ręką na prawo w kierunku odległej rzeki.

Spojrzałem i dostrzegłem zwierzę, biegnące dość szybko na przełaj. Wyciągnięty kłus na długich nogach czynił je zdaleka podobne do psa, ale kształty były smuklejsze i ruchy dziwnie miękkie. Barwa jasno-płowa w ciemne, równo rozrzucone centki, wyraźnie była widoczna w słońcu, pomimo znacznej jeszcze odległości.

— To gepard, — szepnął Siergiej, — chce przerwać się przed nami, zaskoczym prędzej naprzód.

Nacisnąłem konia i pomknąłem. Zwierz zatrzymał się niezdecydowany, poczem znów pobiegł naprzód, chcąc widać przedostać się, zanim nadciągnie sznur koni i ludzi. Zbliżaliśmy się do siebie szybko. Znów na chwilę zatrzymał się gepard, jakby się namyślając, i ostatecznie pomknął bokiem ku mnie, przecinając ścieżkę na jakie 60 kroków przedemną.

Zatrzymałem konia i, puszczając cugle, wziąłem go na cel z mausera, zakładając o wiele naprzód ze względu na znaczną szybkość zwierza.

Strzał huknął, a gepard rzucił jak sarna zadem, lecz nie zatrzymując się, pędził dalej na trzech nogach, silnie utykając.

Ścisnąłem ostrogami konia, który podczas strzału stał jak mur, strzygąc tylko pilnie uszami, i poleciałem, trzymając w prawej ręce mauser, gotowy do powtórnego strzału.

Koń jakby skrzydeł dostał. Pędząc na przełaj ku uciekającemu gepardowi, nie kierowany porzucił ścieżkę i rwał kamienistą równiną, aż skry szły z pod kopyt. Stuliwszy uszy i wyciągając szyję, sam ścigał zwierzynę, grając krwią ognistą, unoszony południowym temperamentem, odziedziczonym po całym szeregu rasowych przodków.

Zdumienie moje mogło się równać tylko z rozkoszą, jaką odczuwałem w tej szalonej pogoni. Zdając się całkowicie na instynkt Aleba, rzuciłem cugle i całą uwagę zwróciłem na pomykającego zwierza.

Stalowe nogi dzwoniły dźwięcznym taktem o kamienie i zdawało się, że żadna przeszkoda nie wstrzyma wściekłego pędu. Przelatywaliśmy, jak na skrzydłach, przez ostre głazy, które rumak to przesadzał płaskim rzutem, to pozostawiał za sobą, odbijając się, jak piłka, czterema naraz nogami od pochyłej powierzchni.

Pędziliśmy tak przeszło dwa kilometry. Przestrzeń zmniejszała się wolno, lecz w szalonych susach tej jazdy nie mogłem dobrze złapać na muszkę dość nikłego celu. Wreszcie kilkanaście tylko kroków dzieli nas, a i ta odległość zmniejsza się ciągle. Miejsce dość równe, więc podnoszę się na strzemionach i, kierując karabin między uszami konia, strzelam w grzbiet geparda z odległości 8—10 kroków. Zwierz koziołkuje, a Aleb w niepowstrzymanym pędzie przesadza je potężnym susem, poczem dopiero zwalnia biegu i zatrzymuje się, ostro robiąc bokami.

Zeskoczywszy, zbliżyłem się do zabitej sztuki. Ładny stary samiec o gęstych czarnych centkach i długim kocim ogonie, leżał z wysuniętym językiem, przeszyty kulą na wylot od łopatek do gardła.

Był on widocznie przechodni w tych stronach, gdyż na łapach ponad przegubem znać było zaschnięty ił rzeczny, zapewne więc niedawno przeprawił się przez rzekę z Afganistanu, dążąc do gór Hissarskich.

Najszybsze to na świecie zwierzę dopędzić w stanie zdrowym niepodobna, gdyż bieg jego jest taki, że dościga z łatwością wiatronogą antylopę, której sprostać nie może najlepszy chart. Dodatni rezultat mego pościgu przypisać należało jedynie temu, że pierwszym strzałem strzaskałem mu kość biodrową.

Wkrótce nadjechali Bilkiewicz z Siergiejem—i ten ostatni zabrał się zaraz do ściągania skóry.

Włodzimierz Korsak.

———————

[1]) Urywki z powieści, która się ukaże w r. b. nakładem Księgarni S-go Wojciecha w Poznaniu.

[2]) Posterunek na granicy Afganistanu pod Amu-Darją.

[3]) Stanisław Bilkiewicz, znany przyrodnik i podróżnik, długoletni dyrektor Muzeum w Aschabadzie. Siergiej jego preparator.

KRÓL ZYGMUNT AUGUST JAKO MYŚLIWY.

(*Dokończenie*)

Strzelcy awansowali niekiedy na leśniczych; w r. 1556 zanotowano: Marcin Siciński został leśniczym korsuńskim. Lasy były zapewne podzielone na rewiry z leśniczymi na czele. Prócz przewidzianych pensyj, strawnego, koni, owsa, dodatków tygodniowych i t. d., dostawała służba myśliwska od czasu do czasu gratyfikację. W r. 1544 w Wołkowyskach strzelcowi Pieczkielowi 2 fl. 15 gr., Wassylkow 2 fl. ex gratia, Hrysie Moskwicinowi, przygotowującemu polowanie w Białowieży, 4 fl., Janowi Kaczorkowi strzelcowi 4 fl. ex gratia.

Oprócz głównej gromady strzelców było także kilku ptaszników, są też wzmianki, że polowano z sokołami i białozorem. Dopomagała i naganka ludności okolicznej.

Polowanie w styczniu 1546 r. w Białowieży najwięcej zostawiło śladów w zapiskach: 2 fl. do rozdania ubogim w drodze na polowanie do Białowieży, 4 fl. na podwody, 12 fl. sześciu dworzanom rozesłanym dla zebrania ludzi do naganki przy polowaniu, 1 fl. ubogim w Wołkowysku, 6 fl. w Białowieży słudze p. Kostki, który przyprowadził psy „wzlanniki"[1]) i sieci, pięciu jego ludziom, którzy te psy prowadzili, po 20 gr.

Dalej spieszyły ze strzelcami sfory psów. Już w młodości miał Zygmunt August psiarnię w Dębnikach pod Krakowem. Pies Zygmunta Greif ma obszerne konto w spisach wydatków. W r. 1544: 1 gr. na masło dla psa Greifa, 5 gr. od naprawy jego łańcuszka, 1 gr. za mydło dla niego; 1545: za kocioł z którego Greif jada 18 gr., kołdra z lisich ogonów dla Greifa 21 gr.; 1546: za smycz do prowadzenia Greifa 2 gr. 4 den., a za kurę dla niego 1 gr. 2 d.; 1547: skrzynka na rzeczy Greifa 5 gr.; 1548: za naprawę srebrnej obroży Greifa 10 groszy, za medycyny dla Greifa (pro melle, raphano et. allec pro medicinal) 13 gr., za skrom zajęczy do nacierania Greifa 10 gr., za grzebień dla niego 9 d., na mydło przez 5 lat wydano do mycia tegoż 2 fl.

Na tem urywają się zapiski o Greifie.

W r. 1544 zapisano w wydatkach 2 fl. 15 gr. za półtora łokcia sukna szarego włoskiego pro tibialibus Regiae Majestatis alias portki, których Naj. Pan zwykł na polowaniu używać, 6 fl. 15 gr. za futerko lisie do ich podbicia, 20 gr. od ich przyszycia i od podszycia delji z szarego adamaszku, 25 gr. za pół łokcia litewskiego sukna, szarego włoskiego, z których zrobiono tibialia parva, alias pończoszki, od podbicia rękawiczek czarnych atłasem 1 gr. 4 d. — W roku 1546 za pół łokcia karmazynu czarnego pod kapelusz Naj. Pana 6 gr. 7 d. i tyleż karmazynu czarnego na rękawice do polowania z sobolami 20 gr. 5 den. — Hannusowi Cyganowi złotnikowi od roboty w srebrze 1 grzywna i 9 skojców, z którego zrobił blaszki 2 na róg myśliwski z historyami z polowania na niedźwiedzia 12 fl. 15 gr.

Również dwór i służba myśliwska używała tegoż koloru szarego, jak wynika z wydatków: 10 fl. za postaw szarego sukna Miśnieńskiego, z którego zrobiono 5 delij na polowanie panu podkomorzemu Jaroszowi, przełożonemu stajni, p. Lubomirskiemu podczaszemu, p. Wiesoławskiemu i Węgorzewskiemu, 2 fl. 15 gr. od podstrzyżenia tego sukna, 21 fl. 15 gr. za lisie futerka do podbicia tych delij....., dalej wydatki na umundurowanie służby szarem suknem z futerkowem podszyciem.

Dygnitarze, biorący udział w polowaniu, lub przyjeżdżający z sąsiedztwa na zarządzone w ich bliskości polowanie za zaproszeniem królewskiem, albo stawiający się niejako do dyspozycji króla, przywodzili ze sobą znowu swój orszak psy, strzelców — ten i ów z nich znów dostawał gratyfikację: 1548: strzelcowi starosty w Czersku 15 gr. ex gratia.

Zdaje się, że przysłanie królowi psów myśliwskich było miłym podarkiem, bo spotykamy się z tym obyczajem. W roku 1547 zanotowano 2 fl. famulusowi, który ze służącym arcybiskupa ryskiego przyprowadził psy myśliwskie—w r. 1549 trzem strzelcom kasztelana krakowskiego, którzy przywiedli Najj. Panu psy myśliwskie „wzlajniki", po 2 fl.

Podczas wyprawy oznaczonej do odleglejszego miejsca, a więc przez to dłużej trwającej, zdarzały się rozmaite przypadki, których ślad pozostał w zapiskach wypadków, i tak w roku 1547 zapisano 2 fl. na pogrzeb kucharza Zuba, który umarł w Grodnie po drodze na polowanie; Jurkowi Wątaczowi, który zachorował 3 fl., rzemieślników w Mereczu za zepsucie im narzędzi, pożyczonych przez rzemieślników królewskich podczas całego polowania gratyfikacji 2 fl., dla 31 stajennych, którzy gonili zbiegłego woźnicę Sechę 2 fl.; w roku 1548 w Połańcu pewnej wdowie, której koń zginął przy podwodach, 4 fl.

Z powodu dłuższego trwania takich wypraw, funkcjonowanie kancelarji królewskiej nie mogło doznawać przerwy, więc zapiski objaśniają wydatkami na posłańców z listami króla i do króla, z orszaku królewskiego i do tegoż, np. dworzaninowi, odjeżdżającemu do ojca, który zachorował, datek na pogrzeb, na leczenie, na chrzciny członków rodziny dworzan i t. p., np. w 1547 roku: pokojowcowi Bace, jadącemu do domu do chore-

---

[1]) Rachunki dworskie pisane są po łacinie, gdzieniegdzie wtrącane są wyrazy polskie, np. „wzlanniki".

go ojca, na drogę 2 fl. 15 gr.; Dworzańskiemu, posłanemu do Krakowa 20 fl. jadącemu do kasztelana trockiego po ptaka, zwanego białozór, 1 fl.

Wśród polowania nie brakło oczywiście i przypadków nieszczęśliwych, kończących się śmiercią lub zranieniem od zwierza lub nieostrożnego strzelca. W roku 1546 zapisano: chłopu z powiatu Grodzieńskiego, za syna, którego pewien Rafael, sługa pana kasztelana trockiego, na polowaniu przypadkiem zabił z rusznicy 7 fl. 15 gr., Jurgielisowi, myśliwcowi w Larwaryszkach, którego syna niedźwiedź zagryzł na polowaniu 4 fl., w Rudnikach „temu, gdy Najj. Pan strzelił, co mu kołpak uszkodzony został, 1 fl. ex gratia“. „W Białowieży w lesie człowiekowi, który wszedł na dąb dla spędzenia niedźwiedzia, który tam wylazł 5 gr. litewskich, co się równa 2 gr. 2 den.“ — W 1547: „pewnemu szlachcicowi, którego konia dzik zabił, 5 fl. ex gratia“.

Co do trofeów myśliwskich, to futra należały do króla, jak to wynika z zapisków następujących: z r. 1546: Zygmunt kuchmistrz, Włoch z Fauello pobierał 60 florenów. Temu Najj. Pan dodał 40 fl. rocznie z tego powodu, że wszystkie skóry ze zwierzyny i bydląt z polowania mają przypadać Najj. Panu.

Po polowaniu w styczniu tego roku w Białowieży zanotowano: 52 fl. 14 gr. dla Macieja Langa, woźnicy wiozącego w 35 beczkach zwierzynę, a 10 fl. dworzaninowi Kampie z nim jadącemu. W r. 1561 zapisano: z polecenia Najj. Pana przesłałem do Wilna przez Andrzeja Ciesikobelkę sześć rogów jelenich i danieli — może te rogi były także trofeami z polowań królewskich.

Liczba zwierzyny bitej na tych polowaniach wielkich musiała być bardzo znaczną, nie spotkałem zapisków o nich z czasów Jagiellońskich. W Białowieży jest obelisk z białego piaskowca z XVII w., na którym napis: „Dnia 28 Septembra 1752 r. Najjaśniejsze Państwo, August III, król polski, elektor saski, z królową Jejmością i królewiczem Ich mość Ksawerym i Karolem, tu mieli polowanie żubrów, zabili 42 żubrów, to jest, jedenaście wielkich, z których najważniejszy ważył 14 cetnarów, 50 funtów; 7 mniejszych, 18 żubrzyc, 6 młodych. Trzynaście łosiów: to jest 6 starych, najważniejszy ważył 9 cetnarów 75 funtów; 5 samic, 2 młodych, 2 saren, suma 57 sztuk“. Dalej następują nazwiska dygnitarzy koronnych i litewskich, przytomnych na polowaniu i łowczych, podłowczych, nadleśnych i leśniczych, należących do tych morderczych łowów.

Zdaje się, że urządzano i pilnowano osobne rewiry niedźwiedzi — bo są osobno notowane wydatki na dozorców niedźwiedzi (curatores); w r. 1547 zanotowano 1 fl. dla „obcych“ dozorców niedźwiedzi, 1 fl. Mamonie dozorcy niedźwiedzi, gdy go niedźwiedź zranił na leczenie, Hrysie Moskwicinowi, który ma kupić świnię lub krowę dla niedźwiedzi w Larwaryszkach 1 fl., w r. 1546 „cudzoziemskiemu“ poskromicielowi niedźwiedzi, na których niedźwiedzi psy królewskie polowały, 15 gr. ex. gratia. Zapisano też wydatek 4 fl. 24 gr. i 25 d. na naczynie brązowe do przechowania sadła niedźwiedziego.

Chowano też na Litwie gdzieś lwa. W r. 1543 zanotowano: Mikołaja Wojtkowskiego, jako dozorcę lwa, a w r. 1547 pewnemu obywatelowi, którego synowi lew ramię zranił 2 fl. 15 gr. na leczenie. Zygmunt August w roku 1557 postanowił, że chłopom wolno polować na własnych polach na lisy, wilki, zające i rosomaki. Lutomierski, podskarbi nadworny, dnia 18 marca 1554 roku w imieniu tegoż króla, w lasach Niepołomickich kradnących zwierzynę nie kazał oddawać sądowi dla ściągnięcia z nich kar kryminalnych, mówiąc: „Nie chce Król Jegomość, aby wtenczas, kiedy odkupować można karę śmierci za zabójstwo człowieka, aby wilk lub jeleń miał większą wartość jak człowiek“.

Dr. Klemens Bąkowski.

Wspomnienia z dawnej dobrej przeszłości.

MEMU NAJLEPSZEMU PRZYJACIELOWI A. L.

Wszystkie polowe roboty ukończone: młócka, siew i orka jesienna, — buraki do cukrowni odstawione, — pozostałe mniej ważne zajęcia pozwalają, by parę razy na tydzień wyruszyć o świcie do lasu z gończakami i stanąwszy pod szczęśliwym dębem na krzyżujących się dróżynach, słuchać, jak gdzieś daleko w drugim końcu kniei, dojeżdżacz Semen zachęca psy: „dalej pieski, dalej! Był tu kot, był tu kot, kot, kot! Dalej ha!“, a echo powtarza jarem jego nawoływania, — a serce tłucze się mocno w oczekiwaniu tej chwili, gdy przodownica sfory żółta suka „Nachodka“; raptem zaleje się swym dźwięcznym głosem wziąwszy na oko, a reszta zaraz przyłączy się do niej i zgodnym chórem poprowadzą zwierza.

A tu, jak na złość, od kilku dni deszcz leje jak z wiadra i na pogodę wcale się nie zanosi.

Gdy, stojąc przy oknie, patrzałem z gniewem na spływające po szybach strumienie deszczu, naraz ujrzałem podjeżdżającego pod ganek konno, w ogromnej burce i kapturze na głowie, mego współpracownika i przyjaciela A. L. — a za nim fornala, prowadzącego mego deresza z siodłem nakrytem derką, w otoczeniu radośnie skomlących czterech gończych i trzech chartów. Wyleciałem na ganek.

„Co za maskarada“?—spytałem.

„Nie pytaj, tylko burka na plecy i na koń!“

„W taki deszcz? sfiksowałeś chyba!“

„Jeżeli boisz się, by nie rozmoknąć, to wleź na piec, a ja i sam pojadę“.

„Czekaj“, zawołałem, zobaczywszy, że zwraca konia.

W minutę siedziałem już na siodle z nasuniętym na oczy kapturem i ruszyliśmy milcząc narazie; psy okazywały swą radość, podskakując do pysków koniom, a mój żółty pointer „Wint“, skorzystawszy z zamieszania, też przyłączył się do kompanji i leciał naprzód jak opętany.

Przerwałem milczenie: „Co ci do łba strzeliło?“

„A to, że deszcz, zobaczywszy, iż sobie nic z niego nie robimy, zawstydzi się i jutro będzie śliczna pogoda, a pojutrze na serjo zapolujemy; a zresztą, kto wie co i dzisiaj stać się może — z pośmicha lude buwajut'.“

Towarzysz mój młodość spędził w stepowej okolicy i był zapalonym charciarzem, lecz pomimo to ogromnie lubił polowanie z gończymi i był doskonałym myśliwym w kniei, gdy więc zamieszkał w więcej lesistej okolicy, uprawiał obydwa sposoby polowania.

Mieszkaliśmy na fermie oddalonej z jednej strony od wioski o parę wiorst — w drugą zaś stronę ciągnęły się łany podolskie kilkanaście wiorst, z jednej strony graniczące z dużemi obywatelskiemi i rządowemi lasami.

„Pojedziemy na Perewał, tam na słotę musiały zebrać się zające z całej okolicy“ rzekł A. L.

„Perewał“ nazywał się kawał pola 120 morgów liczący, dzierżawiony przez cukrownię na pastwisko dla wołów—i od dawna nie był orany, a więc udarniony i zarośnięty bujnemi bodiakami — słusznie więc można było przypuszczać, że bojące się grząskiego w czasie słoty uprawnego pola, zające mogły tam szukać schronienia.

Jechaliśmy gawędząc brzegiem lewady (jarek zarośnięty olszyną), gdy nagle usłyszeliśmy głosy gończych, które rozciągłszy się po roli, skryły się za pagórkiem.

Ruszyliśmy szybko, o ile na to pozwalało rozmiękłe pole, chcąc dostać się do ciągnącej się przed nami wpoprzek łanów miedzy,—gdy naraz ujrzeliśmy pędzącego z za pagórka tą właśnie miedzą, z wyciągniętą kitą, ogromnego lisa, a za nim jedną tylko moręgowatą charcicę „Iskrę“, która w szybkim tempie zaczęła go dochodzić, lecz po obrocie na rolę, lis lżejszy znów znalazł się odrazu na miedzy i znacznie się odsadził, tak że nim go znów doszła, był tuż przy znajdującym się na końcu miedzy futorze; był to mórg włościańskiego pola, okopany niegdyś rowem, obecnie prawie zrównanym, porośniętym wierzbami, burzanem i zawalonym staremi pniami, kłodami i gałęźmi. Dopadłszy tam lis zwykłym w takich razach lisim manewrem raptem przypadł za pierwszą kłodą, a gdy charcica uniósłszy się poleciała dalej, zerwał się i ruszył rowem w przeciwnym kierunku,—lecz już nadlatywała reszta psiarni i na nasze rozpaczliwe wołanie „hajdź! hajdź“!—charty pomknęły w tę stronę, a za nimi gończe, które raz wpadłszy na trop, już się lisowi ukryć nie dawały.

Wtedy rozpoczął się bajeczny wprost pościg: lis doganiany przez charty, ukrył się za krzakiem lub kłodą, skąd go nadbiegające gończe natychmiast ruszały,—lub też zmykając przed chartem, rzucał się wprost na gończe, które nadzwyczaj zgrabnie omijał—przez jednego przeskoczył, z tamtym spotkawszy się przy krzaku, jedną stroną wyjrzał, a drugą się wymknął, jakby bawiąc się w chowanego,—tu ukrył się, to ukazywał, to niby wymknął w pole, lecz natychmiast zawracał,—i tak trwał ten karuzel wokoło futoru już z pół godziny, a wszystko tak się pomęczyło, że jak lis tak i psy szły wolnym galopem, z wywieszonemi ozorami, a gończe nie dawały już prawie głosu, chociaż początkowo, mając go ciągle na oku, darły się strasznie.

My staliśmy tuż na jakimś wzgórku w milczeniu, by nie stracić żadnego szczegółu, z tego cudownego widoku i zdumieni niesłychaną przytomnością umysłu lisa, który tak długo z podziwu godną zręcznością wywijał się pomiędzy ośmiu prześladującemi go wrogami. Nareszcie sprobował wymknąć się z tego koła, i rzucił się do stojącego w środku futoru szałasu, myśląc zapewne w nim się ukryć,—lecz tam go podążający tuż za nim chart „Migdał“ za kark złapał i zdusił.

Gdy zsiadłszy z koni podeszliśmy tam, psy wszystkie leżały rozciągnięte dysząc ciężko, w około martwego lisa, nie mogąc ze zmęczenia tarmosić go, by w ten sposób jak zwykle okazywać swe zadowolenie.

Gdy po przytroczeniu lisa do siodła dosiedliśmy koni i pomalutku ruszyli z powrotem, nie myśląc już zajeżdżać na „perewał“,—ochłonąwszy z przebytych wrażeń, dopiero spostrzegliśmy, że deszcz ustał zupełnie i zaczęło się rozpogadzać.

„A co, nie miałem racji?“,—rzekł mój towarzysz—„deszcz odstraszyliśmy, a przy tem użyliśmy takiej przyjemności, że epizod ten napewno do śmierci w pamięci nam pozostanie. A ty Tuńciu (tak mię zdrobniale nazywała żona i on to sobie przyswoił) śmiałeś się ze mnie i jechać nie chciałeś, jakbyś nie wiedział, że ja miewam dobre przeczucia!“

Nie mogłem nie przyznać mu racji—i tak wesoło gwarząc i wspominając poszczególne epizody tylko co obserwowanego widowiska, układaliśmy również projekty przyszłych polowań, których użyliśmy dowoli, gdyż przez cały listopad trwała piękna jesienna pogoda.

Był to niestety ostatni sezon spędzony razem, gdyż na wiosnę A. L. przeniósł się w inną dal-

szą okolicę, tak że rzadko już spotykaliśmy się— ale przy każdem spotkaniu nieodmiennie któryś z nas wspominał o polowaniu na futorze, tak mocno nam ono utkwiło w pamięci...

Nawet teraz, gdy burza dziejowa zmusiła nas do opuszczenia drogiego Podola i rozdzieliła nas zupełnie, gdyż ja mieszkam w Warszawie, a on daleko na Wschodnich Kresach i od trzech lat nie widzieliśmy się, — lecz gdy w jednym z listów między innemi wspomiałem tylko: „a pamiętasz?“ —odpowiadając mi, napisał: „czyż można zapomieć o futorze!“...

Gdy wskutek ciężkich warunków bytu i obcego otoczenia zapomnieć trzeba o rozkoszach polowania, pozostaje nam tylko rozpamiętywać te dobre dawne czasy, a pisząc o nich, zdaje się, jakby się nanowo je przeżywało, i na chwilę troski z myśli schodzą i dusza się rozjaśnia...

Antoni Terpiłowski.

Polowanie na Kaukazie.

Ponieważ wypadało mi przez dłuższy czas przebywać na Kaukazie będąc zapalonym myśliwym, zapisałem się do kółka myśliwskiego w Pietrowsku, mieścinie leżącej nad morzem Kaspijskiem. Nie przypuszczałem nawet, jak piękne i różnorodne polowania mnie czekają; — że zaś te, dla nas, prawie egzotyczne kraje są pod względem łowiectwa mało znane, kilka słów o polowaniach, w których brałem udział, oraz o gatunku tamecznej zwierzyny może wzbudzić ciekawość towarzyszy myśliwych. Step, ciągnący się od Rostowa nad Donem do morza Kaspijskiego, zbliża się w okolicach Pietrowska do gór i tworzy dalej na południo-wschód wąską kilkowiorstową równinę, biegnącą między górami a morzem prawie do samego Baku. Równina ta nie nadaje się do żadnej kultury. Grunt przesycony słonemi i gorzkiemi solami nie sprzyja florze. To nie przeszkadza jednak porostowi rzadkich, twardych traw, spasanych przez liczne stada owiec, spędzanych na zimowe leże w doliny i powracających na wiosnę, w miarę tajania śniegów, na żyzne i urocze górskie pastwiska. Step, czy właściwiej owo pomorze ma jednak licznych mieszkańców. Co krok kopczyk i ciekawie słupka stojący przed nim gospodarz, suseł, w mgnieniu oka skrywający się przy najmniejszym ruchu człowieka. Pod względem zwierzostanu jedynym spotykanym ptakiem jest kura stepowa, nazywana po rosyjsku „strepiet“. Ptak ciemno-brązowy, wielkości mniej więcej jarząbka, na wysokich nogach bajecznie szybko cieknący, denerwuje psa i myśliwego i zrywa się na niemożebne dystanse. Strzał trudny. Z dwóch, które mi się udało zabić, jeden zbarczony, gdy pies pobiegł zaaportować, bronił się zajadle, na psa szarżował, przyczem bolesną zadał mu ranę w sam koniec nosa. Mięso ciemne, przypominające smakiem derkacza, do którego zresztą, pomijając wielkość—bardzo podobny. Na stepie owym jedną jeszcze znalazłem rzadkość: kaczki, gagarki. Żyją parami na suchym lądzie, nie szukając wody, chyba dla napicia się. Mięso wytwornego smaku i wielce cenny puch są powodem, że tak zwani „promyszlenniki“, t. j. ludzie żyjący z polowania, chętnie na nie chadzają. Łatwe do wytropienia, gdyż w rannych i wieczornych godzinach wciąż się odzywają, doniosłe swoje „ga-ga“ wykrzykując. — Step, mało latem i jesienią nawiedzany, staje się areną bajecznej strzelaniny na wiosnę, gdy nadejdzie chwila przelotu ptactwa. Kto żyje, a ma rusznicę, wybiega na polowanie. W poprzek od morza do podnóża gór, widzi się całe szeregi co kilkadziesiąt kroków wykopanych jam, a z każdej wychyla się głowa siedzącego człowieka. Jeszcze słońce nie zaszło, a już pojawiają się stada lecących kaczek, gęsi małych (t. zw. hazarek), słonek, strepietów, przepiórek, zwykłych dzikich gęsi, dropi, gołębi, czapel, łabędzi, słowem wszystkiego co emigruje na północ przed letniemi upałami z Persji, Mezopotamji Arabji i Turkiestanu. Gdy nadciąga taka chmura, zaczyna się nieustający ogień. A że miejscowa ludność t. j. Czerkiesi, których tam Tatarami zowią, strzelają kulami na wszelkie dystanse, więc gdy spadnie grubsza sztuka podbiega kilku pretendentów. Kłótnia, krzyk, awantura, nieraz do bójki dochodząca. Ażeby brać udział w polowaniu na wiosennym ciągu, wyjeżdżaliśmy w kompanji o kilka wiorst za miasto do miejscowości, gdzie w pobliżu nie było żadnych osad ludzkich i powracaliśmy zawsze z rezultatem zadawalniającym, jeśli nie obfitością, to rozmaitością zwierzyny. Opowiadali mi dawno zamieszkali w Pietrowsku myśliwi, że przed wybudowaniem drogi żelaznej Władykaukaskiej, kiedy miasto było mniejsze i mniej w niem było nemrodów, ptactwo ciągnęło znacznie niżej, a teraz co rok wyżej się trzyma. Si non e vero... To jednak jest faktem, że obecnie dużo gatunków przelatuje nocą, czego podobno przedtem nigdy nie bywało.

Tyle o stepie, leżącym na południe od Pietrowska. Rzecz się ma inaczej, gdy pojedziemy kilka stacyj na połnoc, t. j. w stronę Groźnego. Tam zaczyna się pole, na którem każdy myśliwy rozkoszy dozna. Kółko myśliwskie w Pietrowsku, do którego należałem, dzierżawiło nieopodal od małego przystanku pomiędzy stacjami Czir-jurtem

a Czasaw-jurtem, przestrzeń około 3.000 dziesięcin, na której zbudowało schronisko, domek dla stróżów i psiarnię. Teren nasz nie miał żadnych, ludzkich siedzib — żadnych znaków granicznych — żadnych śladów zamieszkania. Idealny teren! Stepowe łączki, gęsto poprzedzielane karłowatą dębiną; — dużo wodnych kanałów, rzadziej lub gęściej porośniętych trzciną; — znów pomiędzy nimi i za nimi łączki i krzaki. Nikt nie pasł! nikt nie kosił! Zupełny spokój! Płaciliśmy ówcześnie, a było to w r. 1901, tatarskiemu aułowi (wsi) dzierżawy rocznej rb. 60. Od tego miejsca do morza było wiorst mniejwięcej 40, — a wszędzie tenże step, tylko suchszy, rzadziej zarośnięty, z wiecznie powtarzającemi się wyspami z trzcin i oczeretów. — Jak tylko otwierał się sezon, zaczynało się polowanie na bażanty. Wolno było strzelać koguty, lecz na każde zabite cztery dopuszczało się zabicie jednej kury. Przewyższenie normy pociągało karę pięciu rubli od sztuki. Było to ustępstwo zrobione dla mniej pewnych, lub zbyt gorączkujących się strzelców, w gruncie płonne, gdyż, jak mi mówiono, kółko rzadko widziało karne pięciorublówki. Taki „sontagsjeger“, jeśli zabił kurę, czemprędzej rzucał ją w krzaki. Bażant na targu w Pietrowsku kosztował od 75 kop. do rubla — więc co za interes zapłacić zań tak drogo, — tak tłómaczył pewien kolejarz Rosjanin, członek naszego „krużka“. Bażantów była moc. Zabicie 8—10 sztuk na dzień było rzeczą zwykłą. Rekord wziąłem w pierwszym roku dwudziestoma dwoma sztukami, nadto zając i 4 przepiórki. Polowałem tam, biorąc ze sobą człowieka z opodal leżącej wioski osiedleńców małoruskich, sprowadzonych przez rząd z Czernihowskiej gubernji. Zapalony satelita nosił zwierzynę i cieszył się z powiększania ciężaru, lecz bezlitosny krytyk, gdy się spudłowało. Na bażanty poluje się z wyżłem i tam dopiero ocenić można setry; ponter wraca zakrwawiony, niemal ze skóry obdarty, wskutek kolących traw, a głównie, pnących róż, ljonów i innych kolących krzewów, tak dalece wiążących karłowatą dębinę, że przejście bez utorowania drogi, bez przerąbania ścieżyny przez krzaki jest wprost niemożebne. Nóż myśliwski, raczej kindżał, znakomicie to ułatwia. Pamiętam, że służący mój, Wład. Borkowski, ex. żołnierz, który skończywszy służbę, pozostał na Kaukazie, uprosił aby go wziąć, bo na co chochłowi płacić rubla, kiedy on siedzi w domu, nic nie robi, a potrafi równie dobrze nosić ptaki w worku jak tamten. Tłómaczenie, że nie posiada skórzanych jedenastek, i że kolce uszkodzą mu garderobę, na nic się nie przydało. Naparł się, pojechał i powrócił w bieliźnie. — Naturalnie nowe szarawary, które zmuszony byłem sprawić, kosztowały więcej jak rubla. — Zimą na naszej dzierżawie mieliśmy inną rozkosz. Kilku naganiaczy i psy. Dzików dużo. — Dzik dolinny, mały, czarny, — górski, siwy, znacznie większy. Trafiały się i te i te, ale od okazów, które biłem w Lubelskiem nad Bugiem, i jedne i drugie dużo mniejsze.

Nie mniej obficie trafiają się jelenie. Zrzadka wilk i dziki kot. Dalej ku morzu, na czystym stepie — gazelle. Na te nie polowałem, ale sposób, jakiego używają Tatarzy, jest nadzwyczajny. Zoczywszy swoim sokolim wzrokiem, o jakim my, czytający i pracujący wieczorami, pojęcia nie mamy — pasące się gdzieś daleko stado, wyjeżdżają konno, starają się okrążyć je i urządzić rodzaj kawaleryjskiego kotła. Płochy zwierz, zanim go objadą, szuka zbawienia w ucieczce. Zaczyna się pościg i strzelanie z konia. Rezultat bywa różny, lecz przeważnie pomyślny. Mięso, które mi podali we Władykaukazie w restauracji, wybornego smaku, przypomina sarninę, lecz dużo delikatniejsze.

Przebywszy około roku na robotach nad morzem, posunąłem się na drugi — w głąb kraju w góry, ale żyłka myśliwska i tu spokoju nie dała, więc rozpocząłem epos górskich polowań, o których innym razem napiszę.

Z. Trzciński.

Jeszcze Izba Łowiecka.

Już kilkakrotnie, przy różnych sposobnościach, poruszałem sprawę założenia u nas, podobnie jak w Niemczech, Izby Łowieckiej. Doniosłość ekonomiczna jako i tradycja kraju myśliwskiego, obok estetycznego znaczenia, usprawiedliwiają takie żądanie. „Polski Związek Myśliwych“, założony przed trzema laty w Poznaniu, wypełniał dotąd, chociaż w skromnych rozmiarach, jak to widzimy ze sprawozdania Głównego Zarządu, umieszczonego w numerze 12 „Łowiectwa Polskiego“, zadania Izby Łowieckiej.

Subwencja 41 towarzystw (w roku zeszłym 380 mk., w roku bieżącym 2000 mk. od członka) i 20000 mk. subwencji od władzy państwowej, choćby nawet wpłynęły do kasy Polskiego Związku Myśliwskiego, nie mogłyby sprostać zadaniu i to w chwili, gdy łowiectwo polskie, długą wojną i skutkami jej wyniszczone, najwięcej potrzebuje pomocy.

Tymczasem Polski Związek Myśliwych się rozwiązuje, upada więc i ta prywatna inicjatywa stworzenia instytucji pożytecznej, stworzenia z my-

ślistwa jednego ciała, jednolitego frontu wobec licznych jego nieprzyjaciół.

Wprawdzie pięć towarzystw, z ogólnej liczby istniejących zrzeszeń w Rzeczypospolitej, odłączyło się od „Polskiego Związku Myśliwych“ i od czerwca zeszłego roku zajmuje się założeniem nowego Związku, któremu nadano nazwę „Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Myśliwskich“, ale prócz dwuch posiedzeń, odbytych w październiku i styczniu i ułożenia na tychże ustaw, innych oznak życia jako i pozytywnego działania dotąd nie okazało. Przypuśćmy wszakże, iż nowa ta „Centrala“ w dalszym czasie wykaże większą żywotność organizacyjną i z gruzów „Polskiego Związku Myśliwych“ zdoła złożyć ową tak potrzebną a upragnioną przez wszystkich myśliwych „Centralę“, to mocno powątpiewać należy, aby ona odniosła pożądany skutek, posiadała należytą powagę.

Prywatna inicjatywa i dobra chęć u nas nie wystarczą, u nas dla poszanowania dobra publicznego i wzbudzenia dla niego subordynacji potrzeba silnej ręki—potrzeba władzy, a tą w tym wypadku być powinna urzędowa Izba Łowiecka. Wiadomo, iż obecnie, w ciężkiem naszem położeniu finansowem, trudno byłoby znaleźć na założenie i utrzymanie Izby takiej potrzebne fundusze, ale mamy już, jak wspomniałem, instytucję pokrewną: „Komisję ochrony przyrody“, którą przez dodanie odpowiednich specjalistów, zamienićby można w „Komisję myśliwską i ochrony przyrody“. Te dwie instytucje nie tylko nie mają żadnych celów rozbieżnych, ale przeciwnie ideowe tak wspólne, iż w razie połączenia zadanie swoje jednocześnie rozszerzą i udoskonalą. Wobec tego, iż „Komisja ochrony przyrody“ ma swój własny organ, ma też kompletnie zorganizowane biuro — koszta podniosłyby się tylko o utrzymanie kilku sił pomocniczych.

Prawa i kompetencje instytucji takiej należałoby też rozszerzyć, nie tylko na praktyczne, ekonomiczne cele, któreby rozumie się w pierwszym rzędzie powinna mieć na oku, ale jednocześnie i na etyczne i estetyczne cele łowiectwa.

Oto mniej więcej kompetencje i zakres działania, któryby „Komisji ochrony łowiectwa“ nadać należało:

„Czuwanie nad ochroną i racjonalną gospodarką łowiecką w lasach rządowych i prywatnych łowiskach. Sprowadzenie zwierzyny zagranicznej, ewentualnie założenie własnych zakładów hodowli. Informowanie władz, urzędów i osób prywatnych w sprawach tyczących się łowiectwa. Ustanowienie czasu ochrony dla zwierząt łownych. Udzielanie pozwolenia na założenie i potwierdzenie ustaw wszelkich nowopowstających towarzystw myśliwskich. Kontrola nad wszystkiemi, tak nowo jak i dawniej utworzonemi towarzystwami. Szerzenie zamiłowania i uświadomienia konieczności ochrony zwierząt wśród ludności wiejskiej i miejskiej za pomocą szkoły i rozszerzenia oświaty przez odpowiednie publikacje. Urządzanie wystaw i muzeów.

Środki do utrzymania tak niezbędnej instytucji zebraćby można bez trudu za pomocą dopłaty do kart myśliwskich w b. dzielnicy pruskiej, opłacanych tak nisko, iż nie odpowiadają nawet $^1/_{10}$ części skórki zajęczej.

Po zaprowadzeniu jednolitego prawa łowieckiego (co, miejmy nadzieję, w bieżącej sesji sejmowej nastąpi) przeprowadzenie wszystkich tych zadań będzie nie tylko możliwe, ale i dla przyszłości łowiectwa konieczne.

Wł. Janta-Połczyński.

Dwa klasyczne pomniki staropolskiej literatury myśliwskiej „złotego wieku“.

(Dokończenie)

O kuropatwie pisze Cygański:

„Rozkoszny to ptak, do stołu się godzi,
do panięcego, bo nie tanie chodzi.
W polu się chowa lecie jako zimie,
między myśliwcy ród jego rad słynie“.

Ładny jest wierszyk o słowiku:

„Nawdzięczniejszy ptak między ptakami,
rozlicznemi on wykrzyka głosami.
Snu na oczach swych jako żyw nie miewa,
we dnie, w nocy ustawicznie śpiewa“.

Ale czterowiersze te mają wartość nie jako poetyckie dzieła, lecz jako niezmiernie ciekawe źródło starożytnej, polskiej ornitologji. Charakterystyki ptaków obfitują w szczegóły przypisywane im przez lud. Pełno tu przesądów i legend. I tak w wierszu o cietrzewiu czytamy:

„Ptak leśny cietrzew, miłośnik czystości, z przyrodzenia swego takie ma własności: z piany, która mu przy igrzysku płynie, płód swój zaczyna; tak czystością słynie...“

Po czterowierszu następuje zwykle opis łowów na danego ptaka. Cygański wylicza nam bu-

dowę wszystkich używanych w Polsce sieci i sideł, opisuje szczegółowo przyrządzanie i zastosowania lepu, rodzaje przynęt i wabików.

Łabędzie i czaple radzi autor łapać na wędkę. O łabędziach pisze: „Wetkni w jabłko, w niewielkie, w twarde wętkę, jeśliżeby nie miał tak małego, tedy naozczepaj jablek, a tam wętkę dobrze wetkni tak, żeby jej ptak nie wygryzł i uwiąż u drewna sznur... Sznur ma być mocny, a co namiękczejszy“. Czaple łowić należy na wędkę z rybką. Na czajki najlepiej polować z jastrzębiem, spłoszywszy je uprzednio biciem w bęben. Do chwytania wodnego ptactwa, kaczek dzikich, cyranek, gogołów, służy wąton. Wbija się w dno wody pal z umocowanym na nim kręgiem drewnianym. Na tym kręgu kładzie się kamyki, do których przymocowane są sznurki z haczykami. Na haczyki zakłada się jako przynętę kawałki śledziony lub płuc cielęcych. Ptak połknąwszy przynętę, ściąga, szamocząc się, kamień z drewnianego kręgu. Kamień, padając na dno, pociąga ptaka za sobą, skąd go z łatwością myśliwy dostać może.

Na kuropatwy zaleca Cygański polować z legawym wyżłem. Podchodzić je można z łatwością, niosąc przed sobą na kiju łeb krowy i okrywszy się skórą bydlęcą.

Na wrony, służące za pokarm dla drapieżnego ptactwa myśliwskiego, najlepsze wyniki daje polowanie z puhaczem. Zamiast puhacza można używać sowy, puszczyki, albo jedną lub dwie kotki.

Każdą radę łowiecką, najmniejsze swoje spostrzeżenie daje Cygański z własnego doświadczenia i z własnych, nader trafnych obserwacyj. Stąd, choć autor wykształcenia naukowego nie posiadał, dzieło jego ma trwałą i niezaprzeczoną wartość naukową.

W przeciwieństwie do Cygańskiego, Jan Ostroróg, autor „Myślistwa z ogary“, był jednym z najbardziej wykształconych ludzi swego czasu. „Myślistwo z ogary“ posiada dla nas wartość nietylko jako dawny pomnik łowieckiej literatury, ale również jako dzieło doskonałe pod względem literackim.

Postaram się w krótkości omówić jego treść.

Dzieło składa się z trzech części: 1) „O ogarach“; 2) „O psiech“ i 3) „O myślistwie“.

W pierwszej części Ostroróg opowiada nam o wychowaniu szczeniąt, o ich wprawianiu do łowów, wreszcie daje szereg rad dotyczących leczenia chorych psów.

Po przyjściu na świat szczeniąt, należy dać im ssać, póki matka dopuści. Potem żywi się je tłuczą owsianą, zatartą mlekiem, do której coraz więcej przydrabia się chleba. Gdy szczenięta dorosną, co łatwo poznać po zniknięciu guzików w dołkach u przednich kolan, zaczyna się je wprawiać gromadą lub ze staremi psami.

Chore psy radzi Ostroróg leczyć w następujący sposób. Na odzyskanie węchu żywić je baraniemi głowami uparzonemi w piwie, lub nacierać im nozdrza gorzałką.

Przeciw wściekliźnie najlepszą prezerwatywą jest dryjakiew wenecka, stosowana kilkakrotnie na rok; napar z piwonji lub cisu; „ołów drobno siekany z pajęczyną w chlebie dawać ladakiedy“; „ma każdy pies żyłkę pod językiem; wyjąć ją dobrze“: snadź się pies... nie snadnie wściecze“; „przepalić też żelazem gorącym międ y oczyma, dobrze“. Gdy pies się zacznie wściekać, trzeba „dać mu świerszcza żywego, albo dwu w słoninie“; krew mu puścić; topić go, żeby się wody opił.

Dalej autor wylicza lekarstwa na parchy, ślinogorz („przepalić między oczyma“), na sparzelinę psią, na stracenie głosu („dać pić żółci bydlęcej“), na zapieczenie, złe nogi, schnięcie łopatki, na robaki w ranach i t. d.

W rozdziale „O psiech“ Ostroróg rozróżnia pięć „rzemiosł“, po których psy przezywamy: przejemca, pies opowiadający zająca, popądca — szukający i znajdujący, gońca — doganiający, wyprawca—naprowadzający na zmylony trop, wreszcie poprawca, „który zająca przypadnionego umie poprawić“, t. j. odnaleźć.

Do największych wad psich zalicza się porywanie z zasadzek zająca, gonienie w przeciwnym kierunku po tropach, zabawianie się „w parzej, ani mogąc zgadnąć, którędy zając wylazł“ i atakowanie bydła.

Co do liczby psów, to „do uciechy doskonałej dosyć jest swór dwanaście, nie nazbyt szesnaście, dwudziestu nigdy wywierać nie trzeba“.

Interesujące jest to, co mówi Ostroróg „o głosiech psich“.

Głosy psie „od basu się poczynając, na dyszkancie stawają“. Trzeba psy przed polowaniem rozdzielić według głosów na basy, tenory, alty i dyszkanty.

„Jako miąższy tenor najcięższemu basowi nabliższy, na ięższemu tenorowi namięższy alt, nacięższemu altowi namięższy dyszkant“.

Czarowną musiała być ta muzyka grającej sfory, której Ostroróg tyle poświęca miejsca, a o której we dwa wieki potem pisał Mickiewicz:

„...jeden pies wrzasnął, potem dwa, dwadzieścia,
wszystkie razem ogary rozpierzchnioną zgrają
doławiają się, wrzeszczą, wpadły na trop, grają...
Na oko gonią. Nagle ustał krzyk pogoni,
doszli zwierza—wrzask znowu, skowyt, zwierz się broni...“

O myśliwcu i jego powinnościach pisze Ostroróg: „Myśliwiec jest jakoby Hetman, wodz i sprawca psi, który nimi rządzić ma... Czemu aby dość uczynił, trzeba, żeby go psi słuchali: a to będzie, kiedy go będą miłować i wierzyć mu. Żeby go tedy miłowali, ma się doma między nimi bawić, głaskać, karmić, sypiać między nimi“.

Dojeżdżacz powinien być urodzonym myśliwym: „Rzemiosło myśliwca tego, który psy dojeżdża, ciężkie jest, sieła przy nim prace, nędze, niewczasu i guzów, i niemasz żadnej tak wielkiej nagrody, dla którejby człowiek, który z przyrodzenia myśliwy nie jest, miał się takiej służby podjąć“. Na dojeżdżacza trzeba obrać młodego, zamiłowanego chłopca i dać mu odpowiednie wy-

kształcenie: musi się nauczyć karmić psy, leczyć je, umieć trąbić, wreszcie wyjeżdżać z psiarnią w pole pod nadzorem bakałarza.

„Trąbienie do każdego zamysłu i potrzeby myśliwczej ma być inaksze. Kiedy psów zwoływać, tedy trzeba trąbić z przewłoką, t. j. tonem jednym, co najdłużej dodymając, a rzadko oktawę wynosząc i mało przebierając. Takiem trąbieniem strębują psy doma do karmienia, do sworowania, do odprawy na polu. Drugie trąbienie jest w zakładaniu, kiedy psy nie gonią i nie przejmują, co dla tego się czynić ma, żeby się psi kupili i myśliwca dzierżeli. Szczwackie potrębowanie ma być wesołe z przebieraniem oktawy.

Trzecie (trąbienie) jest do uszczwanego albo harapowego. Kto pierwszy ze szczwaczów ujrzy ugonione zwierzę, ma zatrąbić, a wszyscy inni, gdziekolwiek są, również zatrąbiwszy, zjeżdżają się do kupy.

„Trąby najprzedniejsze są z wołowych rogów; drugie bardziej dla ozdoby i ceremoniej noszą“.

„Myślistwo z ogary“ posiada dokładny opis przebiegu łowów.

Przed wyjazdem na polowanie zbiera się psy przez kolca sforowe na wywieraną smycz i wiąże się jej końce. Szczwacze biorą charty na smycze i „mają wczas sobie zajeżdżać“. Przy ogarach zostaje dojeżdżacz, myśliwy biegasowy, łowczy i bakałarz. Dojeżdżacz zmierzając ku miejscu, w które chce puścić psy, powinien wołać: „Hu, do lasa, hu lala!“ Podczas zakładania myśliwiec powinien „gadać“ z psami słowami „szukaniu zająca, nie szczwaniu przystojnemi“. Usłyszawszy gon sfory, „krzyknąwszy tylko raz co największym głosem, ma potym bieżeć“ milczkiem „prosto do głosów, nie omijając, nie przebiegając, bo takim swym przebieganiem nauczyłby i psów przebiegać“. Dojechawszy psów, „niema żaden gęby otworzyć, jedno tuż za nimi cicho biegać, a pilnować, gdzie zając przypadnie“. Kto pierwszy ujrzał uszczwanego zająca, ma zatrąbić, poczem wszyscy trąbią, wołając: „Haho uszczwał, haho uszczwał, haho jest, jest!..“.

Gdy upadnie część gonionych zajęcy, psy powinny gonić za ostatnim z nich, póki go nie uszczwają, a myśliwcy patrzeć na miejsca, gdzie inne zające popadały. „A skoro (psy) jednego (gonić) skończą, zaraz zakładać na one upadłe zmordowane, tedy je pozbiera jako grzyby“.

Po skończonych łowach, przed odprawowaniem, należy psy wytrąbić z lasu i dać im wytchnąć. Karmić je potem dużemi grzankami chleba (by pies jadł je, gryząc, a nie połknął bez żucia), nasmarowanemi patrochami zajęczemi. Wiosną dobrze jest uszczwanego zająca ze skóry obłupić, posiekać i dać pożreć psom: „uczą się przy taką strawą zajęcy nie drzeć i, choć go sami ugonią, będą czekać krajczego, żeby go im obłupił i pokrajał“. Niezmiernie ważną jest rzeczą dobrze poić psy podczas polowania i po ukończeniu łowów: „wodą powolne psy sobie uczynisz, jako żadnemi pieszczotami“. Na tem kończy się dzieło Ostroroga.

Jeżeli teraz po rozpatrzeniu treści „Myślistwa ptaszego“ i „Myślistwa z ogary“, zestawimy te dzieła, to będziemy mogli jasno zauważyć, że obejmując dwie dziedziny dawnego łowiectwa, dopełniają się one wzajemnie i mogą być śmiało nazwane klasycznym pomnikiem myśliwskiej naszej literatury „złotego wieku“.

Juljan Ejsmond.

Pies myśliwski.

Rodowód psa domowego jest bardzo zawikłany i niepewny. Wiemy o psie tyle, co i o wszystkich zwierzętach udomowionych, że pochodzi on od pierwotnych form dzikich, odpowiednio przekształconych do potrzeb i wymagań człowieka. Jednak, kwestja, czy pies pochodzi od jednej formy dzikiej, czy też od wielu była przedmiotem długotrwałego sporu między uczonymi i ostatecznie z zupełną pewnością wyświetloną nie została.

W rozprawie niniejszej postaram się między innemi przynajmniej w ogólnym zarysie rozpatrzyć poważniejsze poglądy, tyczące się powstania psa domowego, zestawić ich wyniki, i o ile się to da tylko, wyciągnąć odpowiednie wnioski. Poruszę więc zasadniczo kwestję pochodzenia psa udomowionego w ogólności, gdyż sprawy tej, odnoszącej się do zbyt zamierzchłych czasów, różnicować prawie niepodobna — poczem wyniki ostateczne postaram się zastosować do psów myśliwskich.

Pochodzenie psa domowego.

W nauce bardzo poważnie jest rozpatrywana kwestja pochodzenia psa wprost od wilka, szakala, lub też jakiegoś zaginionego gatunku, więc dawniejsi szczególniej autorowie przypuszczają, że rodowód psa zaczyna się od pierwotnego psa, którego Buffon nazywa „le vrai chien de la nature“. Zróżnicowanie zaś tłumaczą oni wpływem klimatu i kultury. G. St. Hilaire uważa za protoplastę rodu psiego wilka abisyńskiego (C. lupus

simensis), zaś Studer dowodzi, że początków psa ludów starożytnych należy upatrywać w dyluwialnym psie dzikim, z którego powstały dwie odmiany: Canis ferus Bourg i Dingo. Te zaś przez krzyżówkę z wilkami dały protoplastów ras dzisiejszych, jak C. f. Inostranzeni, Leineri, decumanus i t. p. Studer stoi już b. blisko, a właściwie nawet na gruncie drugiej teorji, która głosi, że psy domowe pochodzą od kilku form żyjących i zaginionych gatunków, które się między sobą pokrzyżowały. Z obu przytoczonych poglądów — drugi posiada więcej cech prawdopodobieństwa. Najnowsze bowiem badania kraniologiczne potrafiły wyodrębnić pewne grupy psów o czaszkach wybitnie zbliżonych do odpowiadających im form kopalnych — co jest silnym dowodem, przemawiającym za tem, że pies się wywodzi od licznych gatunków. Opierając się na odkryciach kraniologicznych polifilogenetycy—kynologowie prócz tego musieli się posługiwać skomplikowaną metodą badania, gdzie niekiedy współrzędną rolę grały zarówno pomiary osteologiczne jak i historja, spostrzeżenia porównawcze—i zastosowanie wszystkich niemal reguł o powstaniu gatunków. Badania te doprowadziły do wniosku, że pochodzenie psa jest raczej polifilogenetyczne. Więc zwolennicy polifilogenetycznego początku psa domowego dowodzą słuszności swego poglądu, opierając się na dość poważnej podstawie, że w najdawniejszych historycznych czasach istniały odmiany psów wybitnie się różniące między sobą, a przytym bardzo podobne do ras dziś istniejących. Najdalej w historję sięgające dokumenty pochodzą bodaj z czasów 4 dynastji w Egipcie, to znaczy z roku m. w. 3400 przed N. Chr. Na monumentach z czasów tych pochodzących widzimy, w dużem podobieństwie, prawie wszystkie rasy psów obecnie istniejących. Gdy więc, jak mniemano dawniej, człowiek istniał około 6000 lat, hypoteza polifilogenetycznego pochodzenia psów była istotnie prawie nie do obalenia, ze względu na to, iż w przeciągu stosunkowo krótkiego czasu przypuszczalna jedna forma nie byłaby się w stanie na tyle odmian zróżnicować. Późniejsze odkrycia, zmieniające pogląd na czas istnienia człowieka na ziemi, nieco osłabiły twierdzenie polifilogenetyków. Jest ono jednak poparte przez silny dowód, mianowicie przez podobieństwo ras psa oswojonego do odpowiednich form dzikich w danej części świata zamieszkujących. Na ten temat Darwin podaje liczne zdania autorów: przytoczę z nich niektóre. Sir Richardson powiada: „Podobieństwo między wilkami północno-amerykańskiemi (Canis lupus var. occidentalis) oraz psami domowemi indjan tak jest znaczne, że wielkość i siła wilka stanowi zdaje się jedyną różnicę. Dodaje on dalej, że północne psy eskimosów nietylko podobne są bardzo do szarych wilków strefy zwrotnikowej z kształtu i barwy, lecz dorównywują im też prawie wielkością". K a n e twierdzi, że „pokrewieństwo wilków i psów eskimoskich jest tak bliskie, że często krzyżują się z niemi", przez człowieka zaś są brane „do poprawienia rasy". Ten ostatni fakt jest bardzo wielkiej wagi — wskazuje bowiem na nieznaczny tylko procent niepłodności mieszańców, inaczej bowiem nie mogliby dzicy używać wilków do poprawienia rasy. W Europie posiadamy również psy swojskie, bardzo do form dzikich zbliżone. Paget i Jeitteles wspominają o wielkiem podobieństwie wzajemnem wilka i psa węgierskiego. Columella wzmiankuje podobnie na temat psa owczarskiego rzymskiego. W Indjach znów pies „pariah" jest podobny do wilka indyjskiego i t. d. i t. d.

Z drugiej strony Izydor Geoffoy St. Hilaire powiada, że nie można wykazać zasadniczej różnicy między budową szakala a budową mniejszych ras psów. W Gwinei istnieją psy podobne do lisów — i te są nieme. Znane też są psy owczarskie, podobne bardzo do pół-dzikich psów ludów nieucywilizowanych. Słowem dowodów porównawczych aż nadto, żeby wykazać ewentualne pochodzenie psów od form różnorakich, opierając się li tylko na zasadzie podobieństwa. Reasumując wszystkie dane, dotyczące pochodzenia psa — Darwin w dziele swem p. t. „Zmienność zwierząt i roślin w stanie kultury" dochodzi do wniosku, że bardzo jest prawdopodobnem, iż psy domowe na ziemi pochodzą od d w ó c h g a t u n k ó w w i l k a (C. l u p u s i C. l a t r a n s) o d d w ó c h l u b t r z e c h i n n y c h j e s z c z e w ą t p l i w y c h g a t u n k ó w t e g o o s t a t n i e g o — a m i a n o w i c i e f o r m e u r o p e j s k i c h, i n d y j s k i c h p ó ł n o c n o - a m e r y k a ń s k i c h, o d c o n a j m n i e j j e d n e g o l u b d w ó c h p o ł u d n i o w o - a m e r y k a ń s k i c h g a t u n k ó w p s ó w, wreszcie od licznych ras lub gatunków szakali, a także od jednego lub kilku gatunków wymarłych".

Nastręcza się tutaj jedna ważna kwestja. Wiemy, że potomstwo zwierząt różnych gatunków, krzyżowanych między sobą, posiada wielką skłonność do niepłodności, więc zjawisko to winnoby zajść par excellence przy powstawaniu psa czasów dzisiejszych. I w tym względzie wywody naukowe nie dają zadawalniającej odpowiedzi. Jeden Pallas podaje zdaje się słuszny choć nie sprawdzony ściśle dowód, że udomowienie czyli kultura zwierzęcia sprzyjają jego rozmnażaniu się. Tem niemniej nawet potomstwo psów krzyżowanych z wilkami jest niekiedy w małej tylko mierze niepłodne — i kto wie czy nie gra tutaj roli jakieś nieznane prawo „maximalnego zbliżenia się" t. zn., że gatunki, z krzyżowania się których pies domowy powstał były tak sobie bliskie, że łączenie się ich nie pociągało za sobą bynajmniej zupełnej niepłodności.

Obejmując wszystko dotychczas powiedziane i wziąwszy jeszcze pod uwagę, że dziwnem byłoby doprawdy, aby człowiek miał jedną tylko specjalnie dziką formę oswoić — przychodzimy do wniosku, ż e p s y d o m o w e b y n a j m n i e j s i ę o d j e d n e g o g a t u n k u d z i k i e g o n i e w y w o d z ą, l e c z, ż e s ą p o c h o d z e n i a p o l i f i l o g e n e t y c z n e g o.

Udomowienie.

Kiedyż jednak nastąpiło to oswojenie licznych rodzajów dzikich przodków psa dzisiejszego?

W tym względzie mamy dane prawie pewne, że pies udomowiony został jeszcze w czasach przedhistorycznych. Marlot mianowicie podaje, że w Danji w pozostałościach okresu kamiennego znaleziono kości zwierzęcia, co do których Steenstrup wnioskuje, iż należą do psa domowego. W Europie pierwotni mieszkańcy nie posiadali jeszcze psa oswojonego — przynajmniej niema na to danych. Spotykamy go dopiero w perjodzie neolitycznym, w początkach okresu palowego. Jest nim pies odkryty i opisany przez Rütimeyera, C. f. palustris czyli szpic torfowy i współrzędnie z nim istniejący C. f. Inostranzewi, zbadany przez Onuczina, w pokładach kamiennych nad Ładogą. Jest to praprzodek psów północy: eskimoskich i syberyjskich łajek. Wszystkie historyczne ludy starożytne posiadały już psy oswojone najrozmaitszych ras, na co mamy liczne dowody. Słowem widzimy, iż czasy zżycia się psa z człowiekiem sięgają bardzo zamierzchłej przeszłości. Rozwój zaś tego wiernego towarzysza ludzkości był niemal równoległy z rozwojem człowieka. Niepoślednią w nim rolę odegrały zapewne liczne wędrówki ludów, co naturalnie sprzyjało różnorodnym krzyżówkom między przedstawicielami rodu psiego, dawało szerokie pole różnym wpływom i warunkom życia, dzięki czemu wypracowywała się przez wieki całe kultura psa czasów dzisiejszych, wyrażająca się w tak rozmaitych jego odmianach.

Prawa sprzyjające powstaniu rozmaitych typów psów.

Prawa i oddziaływania, dzięki którym powstała wielka różnorodność ras — ujęte są już dawno w hodowli ogólnej. Więc zasadniczemi musiały być przemiany pod wpływem chowu, stosowanego przez człowieka, który dając utrzymanie zwierzęciu, wymagał odeń spełniania przeróżnych funkcyj. W zależności od tego, w jakim kierunku musiała się sprawność zwierzęcia przejawiać, następował rozwój pewnych organów kosztem innych — dzięki czy to przyzwyczajeniu czy to większemu lub mniejszemu używaniu poszczególnych części ciała.

Jan Grabowski.

(dalszy ciąg nastąpi).

W sprawie filmowania polowań.

W roku bieżącym urządza Ameryka wszechświatową wystawę podróży. Niedawno nadeszło zaproszenie na tę wystawę dla Polski. Czynniki kompetentne i zainteresowane zajęły się gorąco tą sprawą, ale doszły do wniosku, że Polska jest do obesłania podobnej wystawy pod żadnym względem nieprzygotowana. Między innemi skarżono się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych na niedostateczność materjału propagandowego.

Jak wskazują doświadczenia, jednym z najlepszych środków propagandowych jest kinematograf; zwłaszcza dla celów turystyki i krajoznawstwa nadaje się idealnie.

Czuję, że zaczynam mówić o rzeczy, która u nas niestety leży zupełnie odłogiem — o polskim filmie krajoznawczym. Że tego rodzaju produkcja jest potrzebna nie potrzeba dowodzić. Brak jej dotkliwie odczuwają nietylko towarzystwa krajoznawcze i młodzież szkolna, ale każdy obywatel, który rozumie, że poznać kraj znaczy tyle co go pokochać...

A kraju i tajników jego natury nie można poznać idąc szosą. Trzeby sunąć cicho i bezszelestnie szlakiem myśliwego i wyławiać wszystko, co piękne i godne zapamiętania.

Przypominam sobie, jaką swego czasu wzbudził sensację obraz wyprodukowany przez „Deutsche Jagdfilm Gesellschaft“ pod tytułem „Polowanie na dzikie zwierzęta w Afryce“. Widz z zapartym oddechem śledził niebezpieczeństwo polowania na nosorożca, przeżywał podchodzenie żyrafy, miał wrażenie, że sam strzela do czerwonaków. I ten kawałek płaskowzgórza afrykańskiego, ten rąbek brzegu morskiego i step tchnący żarem, dały mu lepsze wyobrażenie o Afryce, niż najpiękniejsze opisy podróży.

Obraz był wystawiony za czasów okupacji.

Na naszym filmie z polowania nie znaleźlibyśmy nosorożca, ale ileż więcej uroków flory w porównaniu ze stepem afrykańskim.

Nie będę specjalnie podnosił znaczenia pamiątkowego, krajoznawczego i propagandowego filmu, bo ta refleksja każdemu się sama narzuca.

Jak rozkosznie będzie się czuł dziadek, ongi zapalony myśliwy, kiedy zebrawszy dokoła siebie wnuczki, każe sobie „przepuścić“ film z polowaniem w którym brał ongi udział; a ile otuchy wleje w duszę Polaka w Brazylji czy Stanach Zjednoczonych obraz sfilmowany przez operatora, co wiernie szedł śladami myśliwego.

Pragnąłbym, ażeby te kilka słów stały się bodźcem dla prywatnej inicjatywy hodowców zwierzyny, w co głęboko wierzę, zwłaszcza, że film tego rodzaju o p ł a c a się sowicie. Zarówno towarzystwo krajoznawcze, rządowe placówki propagandowe, jak i kinematografy takim filmem niewątpliwie się zainteresują. Co zaś dotyczy produkcji, ta jest n a j t a ń s z a z jaką się w przemyśle filmowym spotykamy: bo wszystko mamy

gotowe; i dekoracje przyrody subtelniejsze od wytworów pracowni Frycza, monumentalniejsze niż z pod pędzla mistrza Drabika i kostjumy zwierzyny, piękniejsze od modeli Hersego, i prawdziwe światło słoneczne, silniejsze od kosztownych „Jupiterów" i reflektorów. A przytem nie potrzeba nam płatnych aktorów. W rachubę wchodzi tylko taśma filmowa, praca operatora, no i reżyser. Ja osobiście jako kierownik działu Ruchomej Kino Reklamy przy wytwórni Companiefilm, chętnie służą informacjami i bezinteresowną pracą.

Henryk Funk.

SPRAWY BIEŻĄCE.

Zgon Tadeusza Chrostowskiego.

W Paranie zmarł słynny ornitolog i podróżnik ś. p. Tadeusz Chrostowski, znakomity badacz fauny dziewiczych lasów Ameryki Południowej. W jednym z najbliższych numerów pisma naszego poświęcimy studjum dorobkowi naukowemu Chrostowskiego.

Wystawa łowiecka.

Przy końcu czerwca r. b. ma się odbyć razem z wystawą rolniczą, długo przez myśliwych oczekiwana wystawa łowiecka. Wystawa ma mieć nazwę: IV Wystawa Łowiecka i mieścić się będzie w jednej części nowo-wybudowanego gmachu obok wieży górnośląskiej w Poznaniu. Długi zastój w wystawach łowieckich, spowodowany wojną światową, rokuje dla IV Wystawy Łowieckiej jaknajwiększe powodzenie, tem więcej, że odbywać się ona będzie równocześnie z wystawą rolniczą.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa wystawa obejmować będzie dział trofeów myśliwskich oraz dział broni myśliwskich.

Jedyny w swoim rodzaju konkurs.

Dzienniki pomorskie donoszą, że Pomorska Izba Rolnicza ogłosiła konkurs na tępienie rzekomo szkodliwego w rybołóstwie ptactwa, wyznaczając premje za tępienie zimorodków, rybitw, mew, bocianów, czapli, nurów i bąków — i to w czasie od 1 kwietnia do 1 listopada r. b.

Konkurs ten w całej niemal osnowie sprzeczny jest z ustawą obowiązującą o ochronie ptactwa i ustawą łowiecką, gdyż wszelkie wyszczególnione w nim gatunki ptactwa, za wyjątkiem jedynie nurów, posiadają obecnie okres ochrony. Konkurs ten jest aż nadto szkodliwy z ogólnego punktu widzenia, bo może się przyczynić do zupełnego wytępienia licznych, i tak już niezwykle rzadkich u nas gatunków ptaków, jak zimorodek, bąk, niektóre czaple, lub też wcale nie częsty na Pomorzu, a tak silnie związany z naszą tradycją i krajobrazem bocian.

Byłoby pożądanem, by nasze władze administracyjne jak najrychlej zajęły się tą sprawą i spowodowały odwołanie tego niefortunnego konkursu.

Gostyńskie Towarzystwo Łowieckie.

Gostyńskie Tow. Łowieckie założone zostało 16 listopada 1921 r., zalegalizowane 5 kwietnia 1922 r. Obecnie liczy 34 członków, dzierżawi tereny leśne i polne o przestrzeni przeszło 6.000 morgów.

ROZMAITOŚCI.

Jak uratować żubry w Pszczynie?

„Ilustrowany Kurjer Codzienny" zastanawia się nad zagadnieniem, jak uratować żubry w Pszczynie? Czytamy tam co następuje:

Niedawno pisaliśmy o smutnym losie żubrów w Pszczynie na G. Śląsku, którym grozi zagłada, albowiem zachowało się tam jeszcze tylko trzy sztuki, stara 20-letnia krowa i dwa żubry: jeden 6-letni, drugi 3-letni. Przy takiej kombinacji wieku uratowanie tych okazów od zagłady jest wykluczone.

Ale jest inny środek, aby ród żubrów, królów puszcz, nie zaginął. Oto w Budapeszcie w tamtejszym zwierzyńcu znajduje się 5 pięknych żubrów, starannie chowanych, jako rezerwaty zoologiczne. Niedawno zaszczycił żubry budapeszteńskie wizytą osobistą naczelnik Węgier Mikołaj Horthy ze świtą. Mają być one przewiezione do lasów wisegradzkich, gdzie państwowy urząd leśny przeznaczył dla nich ogrodzone 10-morgowe terytorjum, aby tam żubry mogły się lepiej rozmnażać. Lasy wisegradzkie, w których polowali królowie węgierscy, nadają się doskonale na pomieszczenie reprezentantów wymierających żubrów.

Nie wiemy dokładnie, kto się opiekuje żubrami w Pszczynie. W każdym razie istnieje możliwość sprowadzenia do Pszczyny z Visegradu samicy w drodze kupna lub wymiany dla dwóch żubrów pszczyńskich. Możnaby ewentualnie oba stada połączyć na parę lat i podzielić się potem przychówkiem? W każdym razie warto pomyśleć, aby uratować nasze żubry od zaniku, bo podobno w czasie wojny w puszczy białowieskiej Niemcy wszystkie sztuki przy pomocy „raubszyców" wystrzelali. Czekajmy, co powiedzą na naszą myśl polscy przyrodnicy.

W końcu nadmieniamy, że żubry węgierskie zostały sprowadzone tam z puszczy białowieskiej. Tak więc i żubry pszczyńskie i węgierskie pochodzą z Polski.

OD ADMINISTRACJI

„PRZEGLĄDU MYŚLIWSKIEGO"

Z powodu licznych zapotrzebowań na pierwsze numery pisma oświadczamy iż są one niestety całkowicie wyczerpane aż do nr. 7 włą znie.

Numer pojedyńczy — **2000** mk. Prenumerata miesięczna (z odsyłaniem do domu) — **4500** mk.; kwartalna — **13.500** mk.
Dla prenumeratorów „Kurjera Polskiego" 50% zniżki.

Cena ogłoszeń: strona — **600.000** mk.; 1/2 str. — **300.000** mk; 1/4 str. — **150.000** mk.; 1/8 str. — **75.000** mk.

Druk. Spółka Wydawnicza Powszechna, Szpitalna Nr. 1.